

## ROZDZIAŁ PIERWSZY



*Luty 1931 roku*

Wysłałam właśnie przez drzwi kuchenne w lodowatą lutową noc, gdy pewien nieznajomy przeraził mnie prawie na śmierć. Nie słyszałam, żeby długą, pustą drogą, prowadzącą do mojej farmy, jechał jakikolwiek samochód, więc gdy cień w ciemnościach przyjął nagle postać rosnącego mężczyzny, wystraszył mnie tak bardzo, że upuściłam na schody kubeł pełen popiołu. Chwyciłam się obiema dłońmi za serce, żeby powstrzymać je przed wyskoczeniem z klatki piersiowej.

– Proszę mi wybaczyć, proszę pani. Nie miałem zamiaru pani przestraszyć – powiedział nieznajomy. Nawet w ciemnościach widziałam, że naprawdę mu przykro. Stał z rozpostartymi ramionami, jak gdyby chciał mnie złapać, gdybym padła nagle na ziemię z przerażenia.

– W porządku – odrzekłam. – Nie słyszałam po prostu, jak pan podjeżdża.

– Nie podjechałem. Przyszedłem pieszo. – Postawił na ziemi płócienny worek i schylił się, by pozbierać rozrzucony popiół.

– Ostrożnie, te węgielki mogą być jeszcze ciepłe.

– Tak, proszę pani. Mimo to miłe uczucie. – Miał gołe dłonie i nie posiadał żadnej czapki. Od zimna chroniło go tylko kilka warstw poszarpanych ubrań. Większość twarzy zakryta była zbyt długimi włosami i gęstą brodą. Ale to przez jego woń, silny zapach niemytego ciała i dymu z drewna, stało się dla mnie jasne, że ten człowiek jest włóczęgą, jednym z wielu tysięcy, którzy przemierzali tej zimy Amerykę w poszukiwaniu pracy. Musiał zboczyć do sadów ze szlaku, zwabiony światłem z naszych okien.

– Twój dom jest oznakowany – powiedział mi stary Abe Walker, gdy ostatnim razem odwiedziłam jego sklep w Deer Springs. – To właśnie robią włóczędzy, wiesz? Gdy raz się dowiedzą, że jesteś uprzejmą chrześcijanką, znakują twój dom dla następnego koleżki. Powinnaś ich odganiać, Elizo Rose. To niebezpieczne dla ciebie, by się tam szwendali, jesteś wdową i w ogóle.

Abe Walker nie wiedział, że dorastałam z cyrkowcami, bumelantami i robotnikami, więc dość trafnie oceniałam ludzi. Wiedziałam, kogo wpuścić do środka, a kogo odesłać z kwitkiem.

– Czy mogę zamienić słowo z pani mężem? – zapytał nieznajomy, po raz drugi mnie zaskakując.

– Moim... moim mężem?

– Tak, proszę pani. Zastanawiałem się, czy miałby może jakąś pracę, którą mógłbym wykonać w zamian za posiłek.

– Włóczęga miał łagodny głos, mówił miękko i uprzejmie. Pomyślałam o tych wszystkich niekończących się zadaniach do wykonania: nieumytych wiadrach na mleko, drewnie do porąbania, węgłu, który trzeba przynieść, zwierzętach do wykarmienia, płotach do naprawienia, i poczułam się strasznie zmęczona.

– Może wejdzie pan do środka i coś zje – powiedziałam. – Jest za zimno, by tu stać. Proszę zostawić ten popiół na ganku. – Odwróciłam się i otworzyłam drzwi kuchenne, ale mężczyzna się nie poruszył.

– Nie mam nic przeciwko jedzeniu na zewnątrz. I chciałbym najpierw coś zrobić.

Ciężko było powiedzieć w ciemnościach, ile lat mógł mieć nieznajomy. Jego głos nie był ani młody, ani stary. Mimo to było mi go żal. Pomimo wielu warstw odzieży garbił się na mrozie i trząsł z zimna.

– Właśnie skończyliśmy kolację – odrzekłam. – Jedzenie jest jeszcze ciepłe. Proszę wejść.

Powoli ruszył za mną, po czym stał blisko drzwi kuchennych, podczas gdy ja pokroiłam chleb, przyniosłam talerz na zupę, chochlą nabrałam resztki, a na końcu nalałam mu kawy. Gdy odwróciłam się, żeby poprosić, by usiadł, ponownie mnie zaskoczył: przez ułamek sekundy przypominał mi mojego męża. Był prawie tak wysoki i szeroki w ramionach jak Sam i stał dokładnie tak jak Sam zwykł stawać, z jednym ramieniem odrobinę wyżej i głową przechyloną w bok, jakby nasłuchiwał dźwięku z oddali. Ta chwila jednak minęła i zobaczyłam, jak bardzo jednak różnił się od Sama: miał ciemne

włosy, podczas gdy Sam był blondynem, i brązowe oczy, które u Sama były niebieskie jak letnie niebo.

– Nie usiądzie pan? – zapytałam. Postawiłam na stole misę z duszonym kurczakiem, marchewkami i pierogami, po czym podałam mu chleb.

– Dziękuję pani.

Przysięgłabym, że w jego oczach zobaczyłam łzy, gdy usiadł na krześle jak bardzo stary człowiek. Potem zaskoczył mnie tym, że złożył dłonie i schylił głowę do modlitwy, tak jak robili to Sam i jego tata przed posiłkiem.

Po drugiej stronie stołu moja czteroletnia córka wpatrywała się w nieznanego swoimi wielkimi, szarymi oczami, z zawieszonym w powietrzu widelcem, którym wybierała resztki kolacji. Goła żarówka nad stołem rozświetlała jej miedziane włosy, które wyglądały jak płomienie.

– Przestań się gapić i skończ swoją kolację, Becky Jean – powiedziałam. Nie chciałam cały czas brzmieć tak gniewnie, ale ostatnio moje słowa jakby same wyskakiwały mi w ten sposób z ust. Odwróciłam się do zlewu pełnego naczyń, a gdy zerknęłam na swoje odbicie w kuchennym oknie, zobaczyłam twarz, która była zbyt surowa i zbyt zmęczona troskami jak na trzydziestoletnią kobietę. Z tymi wszystkimi zmarszczkami, wywołanymi zmartwieniami, i słomianymi włosami, które opadały mi na oczy, w ogóle nie przypominałam tej młodej dziewczyny, którą Sam określił kiedyś jako „śliczną jak obrazek”.

– Moja mama nie pozwoli panu odejść od stołu, aż nie zje pan marchewek – powiedziała nieznanemu Becky. – Ja nie lubię marchewek, a pan?

– Cóż, ja lubię, panienko. Tak naprawdę bardzo lubię marchewki.

– Chce pan moje? – zapytała.

– O nie, moja droga – powiedziałam. – Ty skończ swoją kolację, Becky Jean, i pozwól temu panu skończyć jego. – Oparłam ręce na biodrach, patrząc na Becky jak jastrząb, aż w końcu odgryzła maleńki kawałek marchewki. Ze sposobu, w jaki mężczyzna pochłaniał jedzenie, wywnioskowałam, że nie jadł od jakiegoś czasu. Dałam mu dokładkę.

– Nie chce pan zdjąć swojego płaszcza? – zapytała Becky kilka minut później.

– Nie, dziękuję. Nie warto. Za chwilę znowu wyjdę na zewnątrz. – Mówił łagodnie, jak gdyby niedaleko spało dziecko, którego nie chciał obudzić. Ale nastrój prysł chwilę później, gdy na schodach rozległ się tupot pędzących stóp, które jednym susem znalazły się w przedpokoju, po czym wpadły do kuchni. Nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, że to mój syn Jimmy. Miał dziewięć lat i wszędzie pędził jak rączy żreback.

– Mamo, możesz mi pomóc z... – zamarł w drzwiach, gdy zobaczył nieznanego. Jasnobrązowe włosy Jimmiego znowu były za długie i wpadały mu do oczu jak kępka przeośniętych chwastów. Obciąłabym mu je, gdybym tylko potrafiła go posadzić na tak długo.

– Niegrzecznie jest się gapić, Jimmy – powiedziałam. – Może powiesz naszemu gościowi „dobry wieczór”?

– Dobry wieczór – odezwał się. Nieznajomy miał akurat usta pełne pierogów i mógł tylko kiwnąć głową w odpowiedzi. Chwilę później w drzwiach za Jimmym pojawił

się rudowłosy cień, siedmioletni Luke. Wiedziałam jednak, że prośenie go o to, by przywitał się z gościem, jest bezcelowe. Luke był nieśmiały i można go było tak łatwo przestraszyć jak bezdomnego kota.

– Z czym potrzebujesz pomocy, Jimmy? – zapytałam, wycierając dłonie o fartuch.

– Z literowaniem słów. – Okrążył stół szerokim łukiem, tak daleko od nieznanego jak tylko się dało, po czym podał mi swój zeszyt. Luke schował twarz za połą koszuli. Oczy chłopca, tak niebieskie jak oczy jego ojca, nie przedstawiały patrzeć na nieznanego. Próbowałam właśnie rozszyfrować rozmazane pismo Jimmiego, gdy mężczyzna nagle krzyknął. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że pociera wierzch swojej dłoni.

– Mamo! – powiedział zdumiony Jimmy. – Becky właśnie się zamachnęła i dziabnęła go widelcem!

– Dziabnęła go?

– Tak, bez powodu!

– Ale ja miałam powód! – powiedziała Becky. – Chciałam sprawdzić, czy jest aniołem!

Ciemne brwi włóczęgi uniosły się w zdumieniu.

– Czym?

– Aniołem – powtórzyła. Była bliska płaczu. – Mama zawsze karmi nieznanomych, bo mówi, że to mogą być aniołowie. Ale pan nie chciał zdjąć swojego płaszcza, więc nie widziałam, czy ma pan pod nim skrzydła.

Chwyliłam Becky za ramię i delikatnie nią potrząsnęłam.

– Becky Jean! Natychmiast przeproś! – Jednak ona zakryła twarz i rozplakała się.

– Nie, nie, nic się nie stało – powiedział mężczyzna. Miał ładny uśmiech, a jego zęby były równe i białe. – Chyba wiem, który werset ma na myśli twoja mama. To z Listu do Hebrajczyków, prawda? „Gościnności nie zapominajcie; przez nią bowiem niektórzy, nie wiedząc o tym, aniołów gościli”.

– Tak, zgadza się. – Ten zaniedbany stary włóczęga cytujący Pismo Święte jak niedzielny kaznodzieja, wprawił mnie w takie osłupienie, że nie wiedziałam, co powiedzieć.

Becky otarła łzy, po czym ponownie spojrzała na mężczyznę.

– Przepraszam, że pana dźgnęłam... ale pan *jest* aniołem?

– Obawiam się, że nie. Jestem tylko zwykłym wędrowcem. – Odsunął krzesło od stołu i wstał. – Jestem bardzo wdzięczny za posiłek, droga pani – powiedział, delikatnie się kłaniając. – Był pyszny. A teraz, jeśli mogę coś w zamian zrobić, chętnie się za to zabiorę.

– Wszystko może poczekać do rana. Może się pan prześpać w warsztacie mojego męża w stodole. Jest tam łóżko polowe i koza, w której może pan nagrzać, jeśli chce się panu przynieść drewno. Na półce znajdzie pan latarenkę i kilka zapalek.

– Jeszcze raz dziękuję, droga pani. – Podniósł dłoń, jak gdyby chciał dotknąć nią brzegu kapelusza, ale już zdążył go wcześniej zdjąć z głowy. Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Dobrej nocy zatem.

Przez cały wieczór, gdy siedziałam przy stole kuchennym, pomagając Jimmiemu z literowaniem słów i arytmetyką, słyszałam tępe ciosy siekiery. Dźwięk rozłupywanego drewna co i rusz przecinał ciszę, a tuż za nim

następowało głucho uderzenie polan, które przewracały się na podłogę ganku.

– Jutro nie będę musiał rąbać drewna – powiedział Jimmy z szerokim uśmiechem.

– Brzmi, jakbyś nie musiał rąbać drewna przez najbliższy tydzień – odrzekłam. – Zastanawiam się, jak on coś widzi w tych ciemnościach.

Nieznajomy nie przestał rąbać drewna aż dzieci znalazły się w łózkach. Gdy weszłam do kuchni, by zamknąć piec na noc, zobaczyłam, jak jego ciemne kontury pochylają się i poruszają na tle białych zasp. Mężczyzna podnosił i wyrzucał śnieg wysoko w powietrze, odgarniając ścieżkę do stodoły i kurnika.

Gdy weszłam do sypialni i się rozebrałam, drżałam z zimna. Od śmierci Sama nie miałam apetytu i nie potrafiłam zagrzać się w nocy, dopóki nie nałożyłam na siebie dwóch par jego wełnianych skarpet i jego swetra. „Jesteś mizerna jak oskubany kurczak”, powiedziałyby na pewno Sam, gdyby zobaczył, jaka byłam chuda.

Wyłączyłam światło i wyjrzałam jeszcze raz przez okno w sypialni. Z kozy w warsztacie wydobywała się strużka dymu, a w stodole jarzyło się światło z latarni. Ale dopiero gdy zwinęłam się w kłębek w zimnym, pustym łóżku, zdałam sobie sprawę, że nawet nie zapytałam nieznajomego o jego imię.

Tak bardzo przyzwyczałam się do samotnego życia na farmie, że zdążyłam już zapomnieć o włóczędce, ale gdy



następnego ranka otworzyłam kuchenne drzwi, żeby nazbierać drewna na opał, zobaczyłam na ganku ogromną stertę polan. Prawie przewróciłam się o kubel z węglem, który nieznamy napęlił w stodole i postawił przy drzwiach. Razem z Jimmym mogliśmy iść obok siebie ścieżką, którą ten mężczyzna odsnieżył aż do stodoły. Posypał ją nawet popiołem, żebyśmy się nie pośliznęli i nie upadli z bankami pełnymi mleka. Ale z komina w warsztacie nie unosił się dym.

– Wygląda na to, że nasz anioł znowu odleciał – powiedziałam.

– Już? – Jimmy wyglądał na rozczerowanego. – On chyba był *moim* aniołem stróżem, skoro porąbał to drewno. – Weszłam za synem do ciemnej, mroźnej stodoły; nasze oddechy wisiały przed nami w powietrzu. Gdy Jimmy nagle się zatrzymał, prawie na niego wpadłam. – Wow! – powiedział. – Jeden człowiek zrobił to wszystko? Musiał pracować całą noc!

Nieznamy wyniósł cały gnój z boksów – coś, co sama bałam się zrobić – a potem przyniósł świeże siano z poddasza i ułożył je tak, żebyśmy mieli do niego łatwy dostęp. W stodole był porządek, który wywołał we mnie delikatny dreszcz. To było dzieło człowieka, który czerpał dumę z tego, co robił – tak jak Sam zwykł wykonywać swoje obowiązki – a nie kolejna praca do odhaczenia przez zmęczoną matkę i jej młodych synów.

– Wygląda na to, że wiedział, co zrobić, i po prostu to zrobił – wymamrotałam. Nagle oczy zaczęły mnie palić, jak gdyby dostał się do nich dym. Szturchnęłam Jimmiego. – Dobra, ruszaj. Przestań się gapić i zabierz do pracy, inaczej

spóźnisz się do szkoły.

Gdy skończyliśmy doić krowy i karmić konie, posłałam Jimmiego do warsztatu, żeby sprawdził, czy włóczęga zgasił ogień.

– I nie zapomnij zamknąć komin – ostrzegłam go.

Ledwo zdążyłam otworzyć drzwi do kurnika, gdy usłyszałam, jak Jimmy krzyczy do mnie przez całe podwórze.

– Mamo! Mamo, chodź tutaj! Szybko!

– Co się stało? – pobiegłam w stronę otwartych drzwi stodoły, gdzie stał. Jego piegi wyglądały szaro na tle bladej twarzy.

– Ten mężczyzna leży przy piecu – powiedział Jimmy na bezdechu – i nie mogę go obudzić!

Przeszył mnie zimny dreszcz. *Tylko nie znowu to samo.*

To młody Jimmy znalazł swojego dziadka martwego na podłodze stodoły trzy miesiące wcześniej. W jego przerażonych oczach widziałam wspomnienie tego okropnego popołudnia.

– Och, ten stary włóczęga jest pewnie pijany, to wszystko – powiedziałam i machnęłam dłonią. – Większość z nich jest biedna, a jednak zawsze wpadnie im w ręce jakiś alkohol. Zerknę na niego. A ty się pospiesz do szkoły. I sprawdź, czy Luke się nie guzdra.

Nieznajomy leżał na łóżku w warsztacie, owinięty brudnym kocem. Powolne unoszenie się i opadanie jego klatki upewniło mnie, że żyje. W pomieszczeniu było zimno, ogień wygasł dawno temu. Rozejrzałam się dookoła, ale nie zobaczyłam żadnych pustych butelek po alkoholu. Prawdopodobnie był wyczerpany po tej całej pracy, którą wykonał – pracy, która mnie i chłopcom zajęłaby cały dzień. Pocz-

łam współczucie do tego człowieka i ostrożnie przykucnęłam obok, żeby rozniecić ogień przed powrotem do swoich obowiązków. Mięśnie będą go mniej bolały, jeśli je ogrzeje.

– Czy anioł się obudził, mam? – zapytała Becky, gdy wróciłam do domu. Ciągle siedziała przy kuchennym stole, dłubiąc w owsiance w ten swój powolny, irytujący sposób. Włożyłam kosz z jajkami do zlewu, a potem przez chwilę trzymałam dłonie nad piecem, żeby je ogrzać.

– To tylko zwykły włóczęga, Becky, nie żaden anioł.

– Czy on... nie żyje? – zapytał Luke.

– Oczywiście, że nie. Widziałeś, ile drewna narąbał. Jest wykończony, to wszystko.

– Może zjeść owsiankę, jeśli jest głodny. – Becky ześliźnęła się z krzesła i chwyciła miskę w obie dłonie. – Czy mogę mu ją zanieść?

– Nie, nie możesz. Gdy się obudzi, pewnie będzie chciał jajek z bekonem, a owsianka lepiej, żeby wylądowała w twoim brzuchu do tego czasu. Zaczyna mnie okropnie męczyć kłócenie się z tobą przy każdym posiłku, Becky Jean, zwłaszcza że w tym kraju mnóstwo dzieci głoduje.

Posłałam chłopców do szkoły. Szli pod posępnie szarym niebem, które zwiastowało śnieg. Gdy skończyliśmy z Becky zmywać naczynia po śniadaniu i bańki na mleko, już sypało. Przygotowałam podwójną porcję chleba, z myślą, że nieznajomy będzie chciał zabrać ze sobą świeży bochenek, ale gdy wszystko już rośło w piekarniku, włóczęgi nadal nie było nigdzie widać. Zostawiłam Becky z jej papierowymi lalkami, nałożyłam buty i płaszcz i ruszyłam przez padające płatki śniegu, by sprawdzić, co z nim.

– Proszę pana? – powiedziałam, potrząsając jego ramieniem. – Halo, proszę pana... wszystko w porządku? – Gdy nie odpowiadał, potrząsnęłam mocniej i mocniej, czując, jak narasta we mnie panika, niczym stado przerażonych ptaków. – Halo! Obudź się! – Mężczyzna w końcu się poruszył, cicho pojękując, i w jego szklanych oczach i zaczerwienionych policzkach zobaczyłam, że to nie mocny trunek czy wyczerpanie go pokonały. To była gorączka.

Szybko odsunęłam się od niego. A co, jeśli czymś zarażał, na przykład polio? Moje dzieci miały z nim kontakt zeszłej nocy, Jimmy był tutaj rano, dotykał go. Szybko wrzuciłam kilka polan do ognia, po czym zamknęłam drzwi warsztatu, żeby dać mu spać.

Po południu padał już gęsty i ciężki śnieg. Chłopcy wrócili wcześniej do domu, strzepując świeży śnieg z butów. Ich policzki i uszy były rumiane od zimna.

– Nauczyciel posłał nas do domu, zanim burza rozsialeje się na dobre – powiedział Jimmy.

– A j-jutro m-może nie być sz-szkoły – dodał Luke. Ta myśl musiała go cieszyć; było to najdłuższe zdanie, jakie wypowiedział od miesiąca.

Zmierziłam jego spocone rude włosy zanim powiesiłam jego czapkę i rękawiczki na sznurze nad piecem, by wyschły. Kuchnię wypełniła woń mokrej wełny, zastępując zapach świeżego chleba.

– Dobrze, że anioł porąbał za mnie to drewno – powiedział Jimmy. Stał parę z kuchennego okna i wyjrzał w stronę stodoły. – Czy on poszedł, zanim zaczęła się śnieżycy?

– Nie, gdy ostatnio sprawdzałam, nadal był w warszta-

cie – odrzekłam. – Ma gorączkę, więc nie chcę, żebyście się do niego zbliżali, słyszycie mnie? Sama pójde sprawdzic, co z nim. Pewnie jest juz głodny. – Nalałam troche bulionu z poprzedniego dnia do malej banki na mleko i owinęłam kawalek chleba posmarowanego maslem w czystą szmatkę, po czym wyszłam na zewnatrz.

Wiatr usypał gorzki swiezego sniegu, jednoczesnie niszczac sciezke do stodoły. Z trudem brodzilam w zaspach, a ciagle sypiący snieg i wiatr kluly mnie w twarz. Znajome kontury podwórza wygladaly jak rozmazany rysunek, a sad za stodołą zupełnie znikl w klębach szarości.

W warsztacie znowu panował ziąb. Uklęklam przy łozku nieznajomego i zaczęłam nim potrzasać, aż w koncu się obudzil. Jego oczy byly szkliste od gorączki, a z ich panicznego spojrzenia wyczytałam, że mężczyzna nie ma pojęcia, gdzie jest.

– Juz dobrze... jest pan w mojej stodole. Przyszedl pan na moja farmę zeszlej nocy, pamięta pan? – Poruszyl ustami, jak gdyby chcial coś powiedziec, ale wydobyl się z nich tylko jęk. Uniosłam jego głowę i pomogłam wziąć kilka łyków bulionu. – Muszę wiedziec, co panu dolega. Mam troje dzieci, a słyszę, że w obozach włóczęgow jest cała masa chorób.

– Moja noga – wyszeptał.

– Pańska noga? Mogę ją zobaczyc? – Mężczyzna pokilwał głową i znowu zamknął oczy. Położyłam jego głowę i odstawilam bulion.

Gdy tylko podniosłam nakrycie, zobaczyłam, w którym miejscu jego prawa nogawka jest poszarpana. Materiał byl

ciemny i sztywny od zaschniętej krwi. Pod nim męczyzna owinął nogę szmatą. Ostrożnie odwinęłam zakrwawiony materiał i zobaczyłam poszarpaną ranę, która biegła wzdłuż goleni od kolana do kostki. Była spuchnięta i zaogniona. W najlepszym razie miał posocznicę, a ja nie śmiałam sobie wyobrażać najgorszego. Raz w życiu doświadczyłam koszmaru związanego z tężcem – i to mi wystarczyło. Do oczu napłynęły mi łzy gniewu.

– Jak śmiesz! – krzyknęłam, rzucając koc z powrotem na jego nogę. – Jak śmiesz przychodzić do *mojego* domu, by umrzeć, jak jakiś parszywy stary pies! Czy nie dość już przeszliśmy? Dlaczego nie mogłeś zejść z drogi do następnej farmy albo następnego miasta? Do miejsca, w którym anioł śmierci nie zamieszkał na progu domu! Jak śmiałeś wybrać *mój* dom!

Męczyzna otworzył oczy i spojrzał na mnie. Nie potrafiłam powiedzieć, czy łzy, które zobaczyłam, były jego czy moje. Zakryłam twarz ze wstydu i cicho płakałam.

– Mamo?

Odwróciłam się i zobaczyłam w drzwiach za sobą Jimmiego. Luke stał obok niego przerażony.

– Wydawało mi się, że kazałam wam trzymać się od tego miejsca z daleka!

– Czy on też umrze, mamo? – zapytał Jimmy.

– Możliwe. – Wstałam, ocierając łzy o rękaw płaszcza. Stara stodoła skrzypiała, gdy podmuchy wiatru uderzały w jedną z jej ścian; grudki śniegu stukwały w szyby. – Nie możemy go tutaj zostawić – powiedziałam. – Nie będziemy przecież przez całą noc biegać tutaj, żeby się nim

zajmować. Idźcie po swoje sanki i pomóżcie mi zanieść go do środka.

Chwycałam mężczyznę pod ramionami, chłopcy złapali za nogi, po czym zanieśliśmy go przez stodołę, niezbyt delikatnie, i położyliśmy na sankach Luke'a. Nieznajomy z całą pewnością ważył więcej niż nasza trójka razem. Przepchnięcie go przez zasy aż do domu wymagało ogromnego wysiłku. Przez większość czasu zaciskał zęby, ale gdy wciągnęliśmy go na schody ganku, w końcu krzyknął. Przyływ bólu najwyraźniej natychmiast go obudził, bo udało mu się stanąć na zdrowej nodze. Pomogliśmy mu dojść do starego łóżka dziadka Wyatta, które znajdowało się w pokoju obok kuchni. Becky patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak kładziemy go do łóżka.

– Czy on umrze? – zapytała.

Na twarzach dzieci zobaczyłam strach i mój gniew na nieznajomego powrócił.

– Nie wiem. Jest teraz w Bożych rękach. Zrobimy, co w naszej mocy, ale cokolwiek się stanie, będzie Bożą wolą.

Nie znosiłam swojej bezradności. Nie miałam telefonu, a przez burzę śnieżną nie mogłam pojechać do miasta po lekarza. *To nie ma znaczenia*, powiedziałam sama do siebie, próbując odepchnąć strach. Nawet nie znałam jego imienia. Poza tym to najpewniej jego własna głupota wpędziła go w ten bałagan.

– On śmierdzi – powiedziała Becky, zatykając nos.

– To prawda. Napełnij czajnik, Becky Jean, i postaw go na piecu, żeby się zagotował. A wy, chłopcy, pomóżcie mi zdjąć z niego te... te szmaty. – Rozebraliśmy go do poszarpanych kalesonów i wystawiliśmy jego ubrania na ganek.

Potem oczyściłam ranę na nodze tak delikatnie, jak potrafiłam, i przyłożyłam gorący okład, przygotowany w sposób, który pokazał mi lekarz, gdy leczył ranę Sama. Nieznajomy, półprzytomny, wydawał się nieświadomy tego, co robiliśmy.

– Zostawimy go teraz – powiedziałam, gdy skończyłam.  
– Mamy dużo obowiązków i nie będziemy się teraz z nim cackać. – Postanowiłam, że sama się nim zajmę. Im mniej moje dzieci będą w to zaangażowane, tym łatwiej im będzie, jeśli umrze. Mimo to jego stan zdrowia najwyraźniej zaprzętał tego wieczoru ich umysły, bardziej niż burza śnieżna, która ciągle szalała na zewnątrz.

– Proszę, nie pozwól, by anioł umarł – modliła się Becky podczas kolacji. Luke zaskoczył mnie, gdy wyszeptał „Amen”. We mnie nie było żadnej wiary w to, że modlitwa może go uzdrowić. Bóg robi to, co chce, bez względu na nasze nieudolne prośby.

Gdy skończyliśmy wieczorne obowiązki, byłam bardziej wykończona niż zwykle przez to, że musiałam się przedzierać przez śnieg i wiatr. Zaczekałam, aż dzieci znajdą się w łóżkach, po czym wróciłam do nieznajomego ze świeżym okładem, bojąc się tego, co zastanę. Oczy miał otwarte i mogłam wyczytać w nich ból, mimo że jedyne światło w pokoju wpadało przez otwarte kuchenne drzwi. Pomimo wszystkich koców, którymi go owinęliśmy, mężczyzna się trząsał. Gdy położyłam na jego nodze gorący materiał, mężczyzna zniechęcił się i zassał powietrze przez zęby.

- Przepraszam. Próbuję panu pomóc, a nie ranić.
- Wiem – wyszeptał. – Dziękuję.
- Jest pan głodny? Mogę coś przygotować.



Pokręcił głową.

– Tylko wodę... proszę...

Odwrociłam się, nagle niezdolna, by na niego spojrzeć.

– Proszę posłuchać, przepraszam, że tak na pana nakrzyżczałam w stodole. Chodzi o to... – Zaciśnęłam mocno powieki. – Chodzi o to, że mój mąż zmarł przez ranę na stopie, która nawet w połowie nie była w tak złym stanie jak pańska. Lekarz powiedział, że to tęzec. Nie mogłam nic zrobić, tylko patrzeć, jak cierpi. I... i to nie była łatwa śmierć.

– To nie pani wina, jeśli umrę – powiedział miękko.

– Wiem. – Powstrzymałam łzy i wróciłam do jego łóżka, żeby przytrzymać mu głowę, gdy będzie pił. – Jak ma pan na imię? – zapytałam. Jego odpowiedzią był słaby szept, którego nie zrozumiałam.

Zamoczyłam szmatkę w misce z wodą i mydłem, którą wcześniej przygotowałam, i obmyłam brud z jego twarzy. Chciałam to zrobić, odkąd wnieśliśmy go do środka. Ciężko było określić jego wiek, ponieważ kudłate, ciemnobrązowe włosy i broda wyglądały, jak gdyby przez długi czas ich nie obcinał. Jego twarz pod warstwą brudu była mocno opalona, a jego oczy, pod grubymi brwiami, miały kolor ziaren kawy. Pokryte odciskami dłonie były duże i silne, choć w dotyku cieplejsze niż woda w misce. Odpięłam górny guzik jego koszuli, żeby przemyć mu szyję i klatkę piersiową, i tuż nad sercem zobaczyłam okropną, poszarpaną bliznę. Zagoiła się dawno temu, ale można było powiedzieć, że już przynajmniej raz uniknęła anioła śmierci.

Gdy skończyłam, woda w misce była czarna.

– Niech pan się teraz prześpi – powiedziałam, zanim wyszłam z pokoju.

Zaniosłam miskę na tylny ganek, żeby ją opróżnić, i przy drzwiach zobaczyłam płócienny worek nieznajomego. Jimmy przyniósł go ze stodoły i zostawił. Podniosłam go i poczułam, że na dnie leży coś ciężkiego, a gdy postawiłam go na kuchennym stole, usłyszałam brzęk metalu.

Czułam się jak podglądacz, gdy rozwinęłam węzeł i zaczęłam szperać w worku. Ale jak inaczej miałam się dowiedzieć, jak nazywa się nieznajomy i skąd pochodzi? Na wierzchu leżała para brudnych ogrodniczek i flanelowa koszula. Odłożyłam je na bok, żeby wyprać z jego pozostałymi ubraniami. Pod spodem znajdowała się menażka amerykańskiej armii i zużyta Biblia z podartą okładką. W środku przeciwdeszczowej peleryny znalazłam kilka zeszytów – podobnych do tych, które Jimmy i Luke nosili do szkoły. Wszystkie poza jednym były wypełnione notatkami zrobionymi ołówkiem. W ostatnim z nich znajdowały się trzy listy z *Chicago Tribune*, zaadresowane do pana Gabriela Harpera na skrzynkę pocztową w Chicago. Wypowiedziałam imię i nazwisko na głos: Gabriel Harper.

Nie musiałam już więcej grzebać, ale nie mogłam oprzeć się pokusie, by sprawdzić, czym jest ta pękata rzecz na samym dnie worka, owinięta w stary koc. Odwinęłam połę materiału i znieruchomiałam ze zdziwienia.

Ten włóczęga dźwigał nietypową rzecz – maszynę do pisania!